Nr. 23. We Lwowie dnia 9. Czerwca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: Bolesław Spausta. Redaktor odpowiedz.: Bolesław Czerwieński.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac
„Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli"

(Ciąg dalszy).

XIV.

Lolo był dobrym i bardzo grzecznym młodzieńcem. Chociaż Hilcio rzadko teraz do pałacu zaglądał, on, jakby go za to chciał delikatnie ukarać, co raz częściej zachodził do zagrody pana Jacentego, i dla wszystkich jej mieszkańców z równą był uprzejmością. Z panem Jacentym grywał [illegible] sobie za największe szczęście poczytywał, na żadnego bowiem z Bereżnickich nigdy równy splendor nie spłynął; z Hilarym rozmawiał o gospodarstwie, do którego z dniem każdym bardziej przywykał, a pannę Zosię bawił najczęściej opowieściami o dalekich krajach, do ktorych za życia ojca rok rocznie wyjeżdżał. Dziewczę słuchało oddech tamując, cało zapatrzone w błękitne oczy opowiadającego. A umiał zająć rozmową. Każdy szczegół na pozór mało znaczący, każda nawet drobnostka, przemieniała się u niego w obraz piękny i zajmujący, który na wieki zostawał w pamięci młodej dziewicy.

I nie tylko opowiadał. Częściej przynosił dzieła nowych poetów, których nazwiska były jeszcze obce dla ogółu, a którzy zwiastowali nową erę. Ich wiersze pełne myśli głębokich, wypowiadane w formie niespokojnej, a tak przemawiającej do serc i umysłów budzących się właśnie teraz z wiekowego uśpienia, zdawały się robić wrażenie nawet na panu Jacentym, który prócz kolędy i kilku psalmów, w życiu swojem innych wierszy nie czytał; i z głowy Hilcia przynajmniej chwilowo wypędzały marzenia o zielonym stoliku, na którym w dzień można spisywać *Berychty*, wieczór zaś grać labeta lub djabełka. Jednakże z wszystkich Zosia najpilniej go słuchała i najlepiej rozumiała. W miarę jak czytał, twarz jej to się rozjaśniała to bladła; spojrzenie czasem trwogą się łamało, czasem było pełne rzewnej tęsknoty; usta to się zaciskały, to do połowy rozwarte zdawały się słowa połykać, które w powietrzu brzmiały; a serce, to serce dziecka niewinnego, drżało wszystkiemi uczuciami, jakie Bóg w niem zasiał! Dusza pieśniami poetów zbudzona, rwała się w światy dotąd jej obce, a jednak tak urocze, tak upragnione, że samo przypuszczenie iżby je mogła utracić, byłoby dla niej najwyższem cierpieniem!

Hrabia czytał z przejęciem, z czuciem z zapałem. W tedy na białej jego twarzy, którą wychowanie wydelikaciło, pojawiał się lekki rumieniec, oko mu błyszczało, głos robił się dźwięcznym i donośnym. Zosia słuchając, i w niego się wpatrując, nie wiedziała jak godziny mijały, i tak pieśnią kołysana, byłaby słuchała do rana, wieczność całą!

Ojciec, mimo szacunku, jakim był przejęty dla gościa dostojnego, czasem się zdrzemnął; brat od czasu do czasu ziewnął do ściany się obróciwszy, tylko Zosia jedna ulegając wpływowi siły, która ją porywała, była zawsze przytomna i szczęśliwa!

Gdy hrabia odchodząc, kolejno ich żegnał, już bez trwogi rękę mu podała; kilkakrotnie nawet zdarzyło się, że mu dłoń czulej uścisnęła, niżby to może wypadało lecz czyż jej była wina, że czując dlań wdzięczność za tyle chwil rozkosznych, pożegnaniem przyjacielskiem, chciała mu podziękować za przyjemność doznaną, a prosić o nową?

Lolo snać to zrozumiał, powoli bowiem zaszedł tak daleko, że stał się gościem codziennym pana Jacentego. Odkąd do tego przyszło, Hilcio przestał mu dotrzymywać towarzystwa. Wiedząc, że ojciec i siostra będą się wieczorem dobrze bawili, chodził do proboszcza, odwidzał znajomych w oko-

licy, chociaż to się rzadko zdarzało, a czasem zaglądał także do sędziego.

Gdy go siostra pytała, jak czas spędza u państwa Pukalskich, odpowiadał, że grywa w taroka, tymczasem Krukowski, który słyszał jak trawa rośnie, zapewniał, że pan Hilary „ma się" do panny Hortenzji.

Panną Hortenzją nazywała się jedyna córka mandatarjusza. Była to osoba młoda, wcale przystojna, skromnie wychowana i nie biedna. O panu Pukalskim mówiono, że nie był bez pieniędzy, a pani Pukalska oddawna, skupowała sreberko dla Horci na wyprawę. Ponieważ pan Hilary Bereźnicki chcąc, mógł do roku zostać sędzią, a prócz tego po ojcu miał odziedziczyć przyzwoity ziemi kawałek, więc nie dziw, że sędziostwo byli mu radzi, a co do panny Hortenzji, to i ona krzywo nań nie patrzyła. Hilcio nie był zbyt powabny, ale i nie liczył się do brzydkich; rozum jego nic należał do nadzwyczajnych, lecz zważyć należy, że między mężami znadują się nie raz i ograniczeni, a mimo to żony ich kochają; słowem pan Hilary nie był orłem ale i nie dudkiem Jak dla córki sędziego, był partią wcale odpowiednią. Potrzebował zatem tylko sięgnąć, aby ją dostać.

Jednego dnia przyszedł rano do dworku Krukowski. Minę miał buńdziuczną, tę samą, z którą pokazywał się zawsze dworskiej służbie i chłopom na polu, bo tylko dla hrabiego i „jasnej" pani miał minę drugą, pełną uniżoności i udanej słodyczy. Wszedłszy do sieni zapytał Marjannę, czy młody pan Bereźnicki jest w domu.

— Jestem — odpowiedział Hilcio, który właśnie wychodził. — Czem mogę służyć panu Krukowskiemu.

— A dobrze się składa nieprzymierzając, że pana Hilarego spotykam na wychodnem, idąc, pomówimy... Szkoda bo i czasu tracić na rozmowy w izbie. Dziś właśnie nieprzymierzając mam skończyć siejbę owsa i aż mi włosy stają ze strachu, żeby mi deszcz nie przeszkodził.

Spojrzał ku górze, głową pokręcił i zrobił minę dwuznaczną, jakby w rzeczy samej słoty się obawiał.

— Ciężka to sprawa z tą gospodarką, mówił dalej, idąc drogą — ale człowiek dałby sobie jeszcze nieprzymierzając radę, boć to dla mnie nienowina, gdyby chociaż na niej się kończyło. A gdzie tam! Jasnej pani za mało, że Krukowski wiernie służy i dobrze gospodarzy, ona nieprzymierzając chciałaby z niego, Bóg wie jeszcze co zrobić. Nie ma rzeczy, której by odemnie nie żądała, wszystko w mig spełnić bo inaczej, gniewy! Ot niedawniej jak wczoraj wieczór kazała mi nieprzymierzając szukać panny do garderoby i ani jej to w głowie, gdzie ja ją znajdę.

— Zdaje mi się, że o nią trudno nie będzie, Hilcio zauważył. - Między szlachciankami znajdzie się nie mało takich, które by to sobie za zaszczyt poczytały, gdyby się mogły znajdować w garderobie pani hrabiny.

— Wiem, że chętnych dosyć by się znalazło, lecz cóż, kiedy stosownej nie ma ani jednej. Ta brzydka nieprzymierzając, a jasna pani brzydkiej nie chce na oczy, druga ułomna, trzecia leniwa, a najwięcej znowu takich, które nic nie umieją. Ot kłopot. Gdyby nie przywiązanie, jakie mam do rodziny nieboszczyka hrabiego, jak mi Bóg miły nieprzymierzając, zarazbym za służbę podziękował.

Hilcio uśmiechnął się złośliwie, czego ekonom nie dojrzał.

— Pan Krukowski miał ponoś do mnie jakiś interes? - przemówił.

— A tak, tak... chciałem nieprzymierzając zapytać pana Hilarego, który przecie jest dziś głową w domu, czy by też panna Zofia...

— Cóż takiego? — Hilcio podchwycił na drodze stając.

— Ja chciałem zapytać nieprzymierzając, czyby panna Zofia nie chciała pójść do pałacu.

— Moja siostra? — brat takim głosem zapytał, że aż Krukowski ze zdziwieniem w oczy mu spojrzał.

— Ta, panna Zofja — powtórzył. — Przecie pałac nie na końcu świata, a nieprzymierzając będzie jej tam bardzo dobrze, chyba jej braknie mleka ptasiego... Pani hrabina jest dobra i szlachetna, prócz pensji będzie jej także prezenta dawała, bo panna Zofia jest sprytna, oho, oho! główkę nieprzymierzając nosi nie od parady!...

— A czemu pan Krukowski nie da której ze swoich córek? — Hilcio zapytał. Głos jego był pozornie spokojny, chociaż kipiało w jego wnętrzu.

— Chciałem, jak pragnę Boga przy skonaniu, chciałem z całej duszy, ale cóż kiedy nieprzymierzając żadna z nich nie podobała się jaśnie pani. Już to co Bogiem a prawdą, panna Zofia ma więcej szczęścia do ludzi, chociaż nieprzymierzając moje córki i więcej edukowane i delikatniejsze.

— Każda liszka swój ogon chwali — przerwał Hilcio niecierpliwie. — Ja się tam z panem oto sprzeczać nie będę, ale czy myślisz mości Krukowski, że ja, który niegdyś sam służyć nie chciałem, oddałbym dziś w służbę moją siostrę jedyną?

Ekonom uśmiechnął się złośliwie i jednem okiem mrugnął.

— Już to nieprzymierzając, ja wiem co mówię. Gospodarstwo pana Jacentego małe, dla dwojga nie wiele się tam z niego okroi, zwłaszcza że stary jeszcze żyje, lepiej zatem będzie, jeżeli brat wszystko obejmie, a siostra nieprzymierzając o sobie pomyśli.

— Odczep się panie Krukowski, bo nie przymierzając jak cię za uszy porwę, to mi je z pewnością w garści zostawisz!

Głos mówiącego był stanowczy, choć jeszcze ciągle spokojny: wszelako po za tym spokojem czuć już było gniew wielki, który każdej chwili mógł wybuchnąć. Ekonom nie bez przestrachu cofnął się o kilka kroków.

Patrzcie co za pan! — rzekł głową kręcąc. Fiu! fiu! fiu! jaki hrabia... Nawet nie przymierzając nie wolno zaproponować. Ktoby myślał, że to Bóg wie jakie państwo, a to syn sługi, któremu dali chleb łaskawy. Zobaczymy nieprzymierzając, czy to państwo długo potrwa.

Z całego przemówienia Hilcio nic już nie słyszał, szybkim bowiem krokiem oddalał się zmierzając ku swoim pługom. Tu jednak długo nie zabawił. Rozdrażniony poszedł do sędziego, ale i z tamtąd wypędził go niepokój. Za zniewagę, jaką w jego przekonaniu wyrządził mu ekonom, potrzebował zadość uczynienia, lecz jakie ono być miało, sam nie wiedział. Nakoniec postanowił udać się do Lola.

Opowiedziawszy w słowach treściwych czego Krukowski śmiał żądać od niego, tak zakończył:

— Jedynie dla tego kości mu nie połamałem, iżem przypuszczał, że to się stało za wiedzą twoją i pani hrabiny, czyli mówiąc jeszcze jaśniej, z waszego rozkazu,

— Kolego! przyjacielu! — hrabia zawołał, obejmując go — czy mogłeś przypuścić coś podobnego! Krukowski zrobił to na własną rękę i abyś nie sądził, że w czemkolwiek zawiniłem, zaraz dziś go oddalę... Co do panny Zofii, tę pójdę osobliście przeprosić... Gdzież bym ja na coś podobnego zezwolił, choćbyś nawet ty sam nie miał nic przeciwko temu! Oddalę, go, oddalę! Zobaczyż, jak wyleci.

Sięgnął ręką, by na służącego zadzwonić, Hilary mu w tem przeszkodził.

— Nie rób tego — rzekł — bo najpierw nie radbym, żeby ten człowiek przezemnie miejsce tracił, a następnie nie chcę tej rzeczy rozmazywać. Siostra moja nie o

liery, chociaż to się rzadko zdarzało, a czasem zaglądał także do sędziego.

Gdy go siostra pytała, jak czas spędza u państwa Pukalskich, odpowiadał, że gry- wa w taroka, tymczasem Krukowski, który słyszał jak trawa rośnie, zapewniał, że pan Hilary „ma się" do panny Hortensji.

Pannę Hortensję nazywała się jedyna córka mandataryusza. Była to osoba młoda, wcale przystojna, skromnie wychowana i nie biedna. O panu Pukalskim mówiono, że nie był bez pieniędzy, a pani Pukalska oddawna skupowała sreberko dla Horci na wyprawę. Ponieważ pan Hilary Berzański chciał, mógł do roku zostać sędzią, a prócz tego po ojcu miał odziedziczyć przyzwoity ziemi kawałek, więc nic dziw, że sędziostwo byli mu radzi, a co do panny Hortensji, to i ona krzywo nań nie patrzyła. Hilcio nie był zbyt powabny, ale i nie liczył się do brzydkich; rozum jego nie należał do nadzwyczajnych, lecz zważyć należy, że między mężami znajdują się nie raz i ograniczeni, a mimo to żony ich kochają: słowem pan Hilary nie był orłem ale i nie dudkiem. Jak dla córki sędziego, był partyą wcale odpowiednią. Potrzebował zatem tylko sięgnąć, aby ją dostać.

Jednego dnia przyszedł rano do dworku Krukowski. Minę miał buńdziuczną, tę samą, z którą pokazywał się zawsze dworskiej służbie i chłopom na polu, bo tylko dla hrabiego i „jasnej" pani miał minę drugą, pełną uniżoności i udanej słodyczy. Wszedłszy do sieni zapytał Maryannę, czy młody pan Berzański jest w domu.

— Jestem — odpowiedział Hilcio, który właśnie wychodził. — Czem mogę służyć panu Krukowskiemu.

— A dobrze się składa nieprzymierzając, że pana Hilarego spotykam na wychodnem, idąc, pomówimy... Szkoda bo i czasu tracić na rozmowy w izbie. Dziś właśnie nieprzymierzając mam skończyć sielną owsa i aż mi włosy stają ze strachu, żeby mi deszcz nie przeszkodził.

Spojrzał ku górze, głową pokręcił i zrobił minę dwuznaczną, jakby w rzeczy samej słoty się obawiał.

— Ciężka to sprawa z tą gospodarką, mówił dalej, idąc drogą — ale człowiek dałby sobie jeszcze nieprzymierzając radę; boć to dla mnie nienowina, gdyby chociaż na niej się kończyło. A gdzie tam! Jasnej pani za mało, że Krukowski wiernie służy i dobrze gospodarzy, oni nieprzymierzając chcieliby z niego, Bóg wie jeszcze co zrobić. Nie ma rzeczy, którejby ode mnie nie żądała, wszystko w mig spełnić bo inaczej, głowy! Oj niedawniej jak wczoraj wieczór kazała mi nieprzymierzając szukać panny do garderoby i ani jej to w głowie, gdzie ja ją znajdę.

— Zdaje mi się, że o nią trudno nie będzie, Hilcio zauważył. — Między szlachcianakami znajdzie się nie mało takich, które by to sobie za zaszczyt poczytały, gdyby się mogły znajdować w garderobie pani hrabiny.

— Wiem, że chętnych dosyć by się znalazło, lecz cóż, kiedy stosownej nie ma ani jednej. Ta brzydka nieprzymierzając, a jasna pani brzydkiej nie chce na oczy, druga ułomna, trzecia leniwa, a najwięcej znowu takich, które nic nie umieją. Oj kłopot. Gdyby nie przywiązanie, jakie mam do rodziny nieboszczyka hrabiego, jak mi Bóg miły nieprzymierzając, zarazbym za służbę podziękował.

Hilcio uśmiechnął się złośliwie, czego ekonom nie dojrzał.

— Pan Krukowski miał pono do mnie jakiś interes? — przemówił.

— A tak, tak... chciałem nieprzymierzając zapytać pana Hilarego, który przecie jest dziś głową w domu, czy by też panna Zofia...

— Cóż takiego? — Hilcio podchwycił na drodze stając.

— Ja chciałem zapytać nieprzymierzając, czyby panna Zofia nie chciała pójść do pałacu.

— Moja siostra? — brat takim głosem zapytał, że aż Krukowski ze zdziwieniem w oczy mu spojrzał.

— Ta, panna Zofja — powtórzył. — Przecie pałac nie na końcu świata, a nieprzymierzając będzie jej tam bardzo dobrze, chyba jej brakuie mleka ptasiego... Pani hrabina jest dobra i szlachetna, prócz pensji będzie jej także prezenta dawała, bo panna Zofia jest sprytna, oho, oho! główkę nieprzymierzając nosi nie od parady!...

— A czemu pan Krukowski nie da której ze swoich córek? — Hilcio zapytał. Głos jego był pozornie spokojny, chociaż kipiało w jego wnętrzu.

— Chciałem, jak pragnę Boga przy skonaniu, chciałem z całej duszy, ale cóż kiedy nieprzymierzając żadna z nich nie podobała się jaśnie pani. Już to co Bogiem a prawda, panna Zofia ma więcej szczęścia do ludzi, chociaż nieprzymierzając moje córki i więcej edukowane i delikatniejsze.

— Każda liszka swój ogon chwali — przerwał Hilcio niecierpliwie. — Ja się tam z panem o to sprzeczać nie będę, ale czy myślisz może Krukowski, że ja, który niegdyś sam służyć nie chciałem, oddałbym dziś w służbę moją siostrę jedyną?

Ekonom uśmiechnął się złośliwie i jednem okiem mrugnął.

— Już to nieprzymierzając, ja wiem co mówię. Gospodarstwo pana Jacentego małe, dla dwojga nie wiele się tam z niego okroi, zwłaszcza że stary jeszcze żyje, lepiej zatem będzie, jeżeli brat wszystko obejmie, a siostra nieprzymierzając o sobie pomyśli.

— Odczep się panie Krukowski; bo nie przymierzając jak cię za uszy porwę, to mi je z pewnością w garści zostawisz!

Głos mówiącego był stanowczy, choć jeszcze ciągle spokojny: wszelako po za tym spokojem czuć już było gniew wielki, który każdej chwili mógł wybuchnąć. Ekonom nie bez przestrachu cofnął się o kilka kroków.

— Patrzcie co za pan! — rzekł głową kręcąc. Fiu! fiu! fiu! jaki hrabia... Nawet nie przymierzając nie wolno zaproponować. Ktoby myślał, że to Bóg wie jakie państwo, a to syn sługi, któremu dali chleb łaskawy. Zobaczymy nieprzymierzając, czy to państwo długo potrwa.

Z całego przemówienia Hilcio nic już nie słyszał, szybkim bowiem krokiem oddalał się zmierzając ku swoim pługom. Tu jednak długo nie zabawił. Rozdrażniony poszedł do sędziego, ale i z tamtąd wypędził go niepokój. Za zniewagę, jaką w jego przekonaniu wyrządził mu ekonom, potrzebował zadość uczynienia, lecz jakie ono być miało, sam nie wiedział. Nakoniec postanowił udać się do Lola.

Opowiedziawszy w słowach treściwych czego Krukowski śmiał żądać od niego, tak zakończył:

— Jedynie dla tego kości mu nie połamałem, iżem przypuszczał, że to się stało za wiedzą twoją i pani hrabiny, czyli mówiąc jeszcze jaśniej, z waszego rozkazu.

— Kolego! przyjacielu! — hrabia zawołał, obejmując go — czy mogłeś przypuścić coś podobnego? Krukowski zrobił to na własną rękę i abyś nie sądził, że w czemkolwiek zawiniłem, zaraz dziś go oddalę... Co do panny Zofii, to pójdę osobiście przeprosić... Gdzież bym ja na coś podobnego zezwolił, chociażbyś nawet ty sam nie miał nic przeciwko temu! Oddalę go, oddalę! Zobaczysz, jak wyleci.

Sięgnął ręką, by na służącego zadzwonić, Hilary mu w tem przeszkodził.

— Nie rób tego — rzekł — bo najpierw nic radbym, żeby ten człowiek przezemnie miejsca tracił, a następnie nie chcę tej rzeczy rozmaszywać. Siostra moja nic o

tem nie wie, niech więc wszystko zostanie między nami. Nakaż mu tylko, żeby z podobnemi głupstwami więcej się do mnie nie zgłaszał. Moja drażliwość prawdopodobnie dziwną ci się wyda, ja sam nie wiem, skąd się ona we mnie wzięła, mój ojciec był przecie sługą twego dziada, a jednak zamiast się jej wyprzeć, czuję, że z dniem każdym we mnie się zwiększa. Widać powoli zaczynamy wszyscy przychodzić do przekonania, że jesteśmy ludźmi.

Lolo serdecznie podziękował przyjacielowi. I on nie chciał tej rzeczy rozmazywać, zwłaszcza że panna Zofia o niczem nie wiedziała, a chociaż w pierwszej chwili chciał Krukowskiego oddalić, wolał, że to nie nastąpiło, ekonom bowiem umiał sobie zjednać jego zaufanie i stać mu się niezbędnym.

Wieczorem tego dnia, jak według zwyczaju przyszedł do państwa Bereżnickich, i jakby w zamiarze nagrodzenia krzywdy, którą Zosi wyrządzono, był dla niej jeszcze grzeczniejszym niż zwykle. Dziewczę swobodnym uśmiechem dziękowało mu za życzliwość, nie wiedząc, że te uśmiechy były już objawem tych uczuć, które nas wiodą daleko, na koniec świata, a czasem i po za jego krańce.

(C. d. n.)

FACECJA WETERANA.

Przyszło w rozkazie: „Wychodzić nie wolno
„Za obręb miasta żadnemu z żołnierzy".
Ale cóż? w człeku jakiś djabeł leży!
Więc raz wieczorem tajną drogą polną
Poszedłem sobie za miasto.
Właściwie

Było to jakieś opętanie czarta,
Bo mię ciągnęło i wino i karta
I wzrok dziewczyny, która się na niwie
Przy zachodzącem słońcu przechadzała.

Ba! człek by musiał serce mieć, jak skała,
Gdyby płomieniom miał się oprzeć wzroku.
Ja z tych nie jestem. Przyspieszyłem kroku
I najczyściej wąsa nałożycie:

— „Signora bono vopre'! do niej rzekę
Jeśli nie wzgardzisz, przyjmij mą opiekę.
Gwiazdy już w krótce zajdą na błękicie...
Kobiecie samej o wieczornej porze

Chodzić po polu nie wypada może!!
To mówiąc z gracją poprawiłem czako.
Odpowie ona: „Signor Austriaco"!

„Wprawdzie do domu już mi nie daleko,
„Lecz zaszczycona tak dzielną opieką,
„Z chęcią przyjmuję podane mi ramię
„I, że mię cieszy to mocno, nie kłamię.

Wtedy dopiero ja już w komplimenty!
(Komplimencisty nie było nademnie)
Przyszło do tego wreszcie, żem f o r e m n i e
Miłość swą wyznał jej wdziękiem ujęty.

Jak gruchających synogarlic dwoje
Szliśmy wonnymi łąk i gajów ściegi,
Na rozmaite brałem się wybiegi
Aby przedłużyć drogę. Serce moje
Najnieszczęśliwszym z jeńców było jeńcem...
Ba! Czyż to dziwne, gdy się jest młodzieńcem?

Jak gruchających synogarlic dwoje,
Tak prowadziliśmy się z sobą razem,
I zapomniałem wiodąc mą dziewoję,
Że się na drodze tej mijam — z rozkazem.

„Wszak wstąpisz do nas, rzekła — przyjacielu
Gdyśmy nareście stanęli u celu.
Rodzicom moim chcę pokazać ciebie,
A u nas nie brak na winie i chlebie,
Przekąsisz przecie może co po drodze?

W ł a ś c i w i e mówiąc, głodny byłem srodze...
Toż gdy wspomniała o chlebie i winie,
Taki się rozlał czar w mej czułej minie,
Że nie pytając mię już o nic dalej
Rozwarła odrzwie.
Z rozkoszą — na stole

Ujrzałem spory kawał parmezana.
Ach! pomyślałem — to sobie pozwolę!
Bóg niech zapłaci ci moja kochana,
(Co do mnie byłoby z zapłatą krucho,
Bo ni fenika nie miałem w kieszeni)

Starzy coś byli nie zadowoleni
Lecz moja b e l l a rzekła im na ucho,
Widocznie kilka mądrych słów, bo wreszcie
Dali mi spokój z swoją kwaśną miną.

Jadłem ser tedy, popijałem wino
Podczas gdy o n a plotła mi powieście,
Które, choć wiele z nich nierozumiałem,
Z nieutajonym słuchałem zapałem.

Stary Włoch musiał jeszcze wyjść na pole
Pozbierać za dnia mykane fasole.
Obecność jego była mi mniej luba:
Złość mu patrzała i zminy i czuba,
I ile razy spojrzał na me czako
Mruczał pod nosem „Corpo di Bacchho"!

Z stokrotnie przeto lepszym apetytem
Wziąłem się teraz do wina i sera.
A wino było iście wyśmienitem!
Lepszem z pewnością niż niejedno schera*)
Wciąż napełniała się moja szklanica
I choć do trunku dawno byłem zwykły,
Nadobna włoszka i brudna świetlica
Butla i talerz we mgle mi gdzieś znikły.

* * *

Nagle mię zbudził wystrzał... Skąd to? Co to?
Pytam sam siebie jeszcze w pół zaspany,
Lecz w odpowiedzi puste tylko ściany
Patrzą się na mnie włoską swą brudotą.
Gdzie Rozalina? Gdzie jéj ojciec, matka?
Ba! Lecz ser został... Jak to mię rozczula!
Naprzód więc zjedzmy, co jest do ostatka,
A potem myślmy... Co to? znowu kula!

W cieniu zarośle, tuż przy samym płocie
Kilka postaci czarnych się chowało.
Nie było czasu myśleć o odwrocie
Zresztą tchórzostwa mam na to zbyt mało.
Zaryglowałem tylko drzwi, ze środka
I zasłoniwszy okno firankami
Szczeliną-m śledził ruchy u przypłotka

Widocznie Włochom brakło na salami
Mięsa — i myśląc, żem ja może osłem,
Chcieli mię ubić. To mnie obraziło
„Łotry", krzyknąłem, czy wam żyć nie miło?
Bez oślich uszu chwała Bogu wzrosłem
I że-m nie osieł tego wam dowiodę!"

Jeszcze-m nie skończył, gdy ujrzałem brodę
Długą, spiczastą... Był to mój gospodarz.
Bęc! sztrzelił — chybił... Ach! dalipan szkoda-ż!
Broni nie miałem, biorę więc szklanicę.
I stłukłszy szybę — „Masz" — krzyknę „psiajucho!"
Lepiej trafiłem dostał po za ucho,
Aż krew na czarne wystąpiła lice,

Zaledwie jednak skryłem się, na froncie
Nieprzyjacielskiej linii — zaszła zmiana,
Z śród krzewów wyszła moja ukochana
I, gdybym nie był tak przyczajon w kącie
Strzał jej ugodziłby mnie niezawodnie;
Tak jednak musnął tylko moje spodnie.

Cudowna była, cudowniejsza może
Niż w swej miłości, w swojej nienawiści;
Tak aniołowie — szatany ogniści
Rzucać musieli się na trony Boże.
Więc darowałem jej, że pantalony
Moje paradne popsuła mi na nic
I chociaż byłem mocno rozjuszony
Z umiarkowanych nie wyszedłem granic.

Strona przeciwna natomiast zgniewana
Niepowodzeniem w operacji swojej
Widząc, że nawet może i do rana
Takim sposobem kurty mi nie skroi,
Poczęła atak do okien i do drzwi.

Jam stał w pośrodku i czekałem chwili,
Kiedy już pęknie żelaziwo odrzwi
Nad którem tyle ciężkich rąk się sili.

Jedno mi tylko pozostało jeszcze,
Spiżarnia, ciężkim zamykana hakiem
Tam pomyślałem wygodnie się zmieszczę
Tam nie wywali mi nikt drzwi kułakiem.

Więc, gdy rozpękać już drzwi poczynały,
Ja do spiżarni... Ach! co za widok!
Tu parmezany, tam mięsa kawały
Owdzie chleb przedni i miodu patok!
Wino, owoce, słowem czego dusza
W głodowych chwilach tylko pragnąć może,
Wszystko znalazłem w najobfitszym zbiorze...
(Dotąd mię jeszcze to wspomnienie wzrusza).

---

*) Xerra.

A więc na beczce usiadłszy od mąki
Począłem badać terenu zalety.
Wroga nie było, chyba, że pająki
Co na me krasne wsiadłszy opolety
Tam swoje szare snuć zaczęły siatki —
Także bym wliczył do wrogiej gromadki.

Natomiast dosyć miałem licznych skrytek
(Tylko o trwogę niech mię nikt nie wini):
Bo mieścił w sobie ten piękny przybytek
Z tuzin beczułek, z drugi tuzin skrzyni.
Broni nie było sztucznej, strzelb ni mieczy,
Ale w nadziei jakowejś odsieczy,
Której spodziewać się miałem przyczynę,
Pewnym był przecie, że marnie nie zginę.

Między innemi leżały dwa stosy
Główek kapusty — i starej sałaty.
Przy braku innych mogły być ich ciosy
Tak samo srogie, jak gdyby granaty;
Tuż przy kapuście znalazłem w koszyku
Zapasy włoskich orzechów bez liku.
Więc rzekłem sobie „ha! i to coś znaczy,
Przy bombach możesz wziąść się do kartaczy.

Zapchawszy siebie w kąt obwarowany
Skąd wszystko-m widzieć mógł, sam niewidziany
Wyczekiwałem, co to będzie dalej.
Niedługo-m czekał jedyne okienko,
Jakie w spiżarni tej się znajdowało
Prysło maluchną wytłuczone ręką.
(Ręka być może silną, choć jest małą.
Nieprawda piękne panie?) potem głowa
Starego Włocha pokrwawiona nieco

Zajrzała w środek, pochmurna, surowa
Jak rysy sępów, co za ścierwem lecą.
Czas do działania myślę i z swej niszy
Niepsując niczem panującej ciszy —
Wypuszczam kartacz orzechów na Włocha.
Snać mu to było nieprzyjemne trocha
Bo strasznie zaklął. — Tymczasem
Z hukiem i pryskiem i owym hałasem,
Co krwawą bitwę zawsze zapowiada,
Bomba kapusty w samą twarz mu pada.

Popłoch był wielki — lecz i wróg miał olej,
Więc raz przeszedłszy taką straszną kolej
Inne wnet sobie zajął stanowisko.
Poznał że na zbyt posunął się blisko
I z oddalenia już gradem kamieni
Dał nowe hasło bitwy... Ja wśród cieni

Półek i desek patrzyłem bez trwogi,
Jak się te groźne toczyły pociski,
Bo mnie szaf tarczą osłaniały bogi.
Wiele natomiast cierpiały półmiski
I plony w pocie uzbierane czoła.
Strach było spojrzeć na to spustoszenie.
Wino strugami płynęło dokoła
Z rozbitych flaszek, drażniąc powonienie;

Pękały sery, spadały cytryny
W piasek rozprysła się złota polenta;
Takich zaburzeń jak wśród tej godziny
Najstarszych ludzi pamięć nie pamięta.

Nieraz przed oknem jasne-m widział czoło
Mojej cudownej, pięknej Rozaliny —
Ciekawy wzrok swój rzucała w około
(Patrząc zapewne, czym wreście ubity)
I nigdzie spostrzec mię nie mogąc, klęła.

Jam nie próżnował także koło dzieła.
Stos kapuściany, chociaż tak obfity
Zmalał fatalnie — szczędzić było trzeba.
Lecz przy największej oszczędności nawet
Musiałby ogień był ustać z mych lawet
Gdyby... O słabych pamiętają nieba.

* *
*

Gdzieś tak w godzinę, stać się coś musiało,
Bo kamieniami pryskające działo
Nagle ustało.

Słyszę, na dworze klątwy, złorzeczenia,
A potem cisza... potem nagle w dali
Tentent.., Bal los się mój widocznie zmienia
I od kamiennej śmierci mię ocali.

Właściwie już-em się domyślił zaraz,
Co włochom taki sprawiło ambaras:
A gdym posłyszał głos mego kamrata
Który obsaczył to niecne plugastwo
Było mi, jakbym dostał skąd pół świata
Bo mimo męstwa nie miło jest pastwą
Takiej hołoty zostać.
Patrzę w okno,

A tu jóż Włochy z sznurkami na ręku —
Zgrzytają męże, baby we łzach mokną...
— „Bodajże ciebie!“ wrzasnę — mospaneńku!
A toś ich chwycił! —
Kamrat więc nuż do mnie;

Ściskać, całować. — To ty tu i żywy?
Któż opiekuńczym tobie był aniołem?
„Ty i kapusta“ i śmiechem parsknąłem,
Bo, kiedy wzrok mój padł na twarze wroga
Podpuchłe, krwawo, sine niby śliwy;
Kiedy ujrzałem kapuściane głowy,
Wśród których grzęzły ich nogi zakute,
Mimo, żem człowiek na sercu surowy,
Musiałem popaść w tak wesołą nutę.

„Puszczaj tych łotrów“ rzeknę — „później powiem
Jak to i co to ze mną się tu działo;
Szkoda dalibóg znaczyć ich ołowiem
Niechaj uchodzą, póki czas jest, cało.
Adieu! urocza moja Rozalino!
Dzięki za serce i wyborne wino!

„Tak czyli owak, zabrać ich nie mogę
Traf tylko "powie —„ zagnał mię w tę drogę
Ważniejsze teraz czekają nas sprawy;
Bierz sobie konia, pędźmy co wyskoczy.
Dzisiaj, jeżeli los będzie łaskawy
Więcej krwi włoskiej jeszcze się potoczy.
A gdy już koniom uzdy były spięte
— „Jaka dyrekcya?*) pytam.
„Na Magentę!“
Rossowski.

---

*) Jaki kierunek drogi; techniczne wyrażenia wojskowe.

Urzędowe dzieło o Sobieskim.

W sprawie dwóchset-letniego jubileuszu odsieczy wiedeńskiej pojawiło się po wielu różnej barwy, zasługi i tendencji dziełach i broszurach — temi dniami dzieło, które pod każdym względem na najwyższą uwagę zasługuje. Wojskowość austrjacka rozwija od kilkunastu lat ogromną czynność na polu historycznem. Wydała źródłowo i fachowo opracowane dzieła nietylko o kampanjach z r. 1859, 1864 i 1866, ale także z czasów dawniejszych. Żadne przecie dla ogółu, a zwłaszcza dla nas nie jest tyle interesującem, co wyszłe właśnie dzieło, p. n. „Rok wojenny 1683“ [das Kriegsjahr 1683], według aktów i innych źródeł autentycznych przedstawiony przed oddział dla historji wojennej c. k. archiwum wojennego. Wiedeń 1883. Nakładem c. k. sztabu generalnego“.

Przytoczyliśmy cały tytuł; z niego bowiem wypływa, że dzieło jest pochodzenia ściśle urzędowego. Nie mamy go jeszcze przed sobą, wszelako w niektórych pismach napotykamy dość przytoczonych z niego wyjątków, aby się dowiedzieć autentycznie:

1) że istotny udział Sobieskiego i wojsk polskich w pogromie turków, przed, podczas i po odsieczy był bardzo mały;

2) że polacy plondrowali;

3) że król Sobieski spisał się niegrzecznie.

Więc czytamy między innemi, a należy rozważać każdy niemal wyraz:

Dowód „eines echten Feldherrn-Genies złożył książę Lotaryński (naczelny wódz wojsk cesarskich) już przed oblężeniem Wiednia przez turków, a następnie pocżas oblężenia — zwycięskiemi potyczkami i doskonałem strategicznem ustawleniem się, nie pozwalając Tökölemu połączyć się z turkami, pobić wojska cesarskie i przeszkodzić nadejściu wojsk posiłkowych.

Zarazem książę według możliwości forytował wszystkie przygotowania do odsieczy, on to obmyślał plan ruchów wojska chrześcjańskiego ku Wiedniowi, tudzież plan bitwy odsiecznej.

Po nadejściu wojsk odsiecznych umiał książę króla polskiego, obu elektórów i ich jenerałów pozyskać dla swoich zapatrywań. Urokiem swoim osobistym, powagą, jaką mu nadały jego czyny poprzednie, zjednał sobie książę duchowe sternictwo całej sprawy.

Wielkie dzieło oswobodzenia Wiednia z żelaznych uścisków ogromnej armji tureckiej było w najlepszym ręku — w ręku wielkie-

go wodza eines grossen Feldherrn) ks. Lotaryńskiego, tudzież w ręku nadzwyczaj tęgiego generała (eines überaus tüchtigen Heerführers) jak król Sobieski.

Poparte przez polsko-niemieckie posiłkowe wojska — dzieło wszechdziejowe armii cesarskiej udało się w sposób najświetniejszy.

W bitwie pod Wiedniem wojsko chrześcijańskie pod dowództwem rycerskiego i wprawnego w rzemiośle wojennem króla Sobieskiego, odniosło świetne zwycięstwo. Ale główne zadanie — otwarcie komunikacji z Wiedniem rozwiązał ks. Lotaryński i jego to ruch ku prawemu skrzydłu wojska tureckiego rozstrzygnął chwiejny dotąd wynik.

Zwrot lewego skrzydła (chrześcijańskiego) na prawo, atak flankowy, nietylko zmusił prawe skrzydło turków do cofania się, ale zarazem też zmusił do odwrotu i lewe skrzydło turków, które dotąd uparcie stawiało opór polakom. Na lewem skrzydle swojem turcy dopiero wtedy podali tył, kiedy spostrzegli rozsypkę swego prawego skrzydła i nieustanne posuwanie się niemców ku ich lewému skrzydłu.

Dzieje wojenne r. 1683 wskazują niezbicie, że jeśli nawałę Osmanów powstrzymano, należy to zawdzięczyć przedewszystkiem wytrwałości cesarza, talentowi i energii ks. Lotaryńskiego i Stahremberga (komendanta Wiednia), tudzież heroizmowi austrjackiego żołnierza i austrjackiego mieszczanina. Kiedy wojska posiłkowe nadciągnęły, już były zastępy Kara Mustafy moralnie pokonane. Nadciągnięcie sprzymierzeńców i ich udział pomogły tylko do wywalczenia zwycięstwa taktycznego.

W tem wszechdziejowym dziele, w jednym z najznamienitszych zwrotów dziejowych, w jednem z największych zwycięstw cywilizacji, w ostatecznem zwycięstwie krzyża na pół-księżycem równa przypada zasługa Leopoldowi (cesarzowi), Sobieskiemu, Lotaryńczykowi i Stahrembergowi. A spełnili to wszyscy w wysokim poczuciu swego obowiązku.

Wieczorem po bitwie wydano rozkaz, że wojsko ma stać pod bronią i pod karą śmierci nie wolno występować z szeregów. Ale rozkazu tego (str. 260) usłuchali tylko niemcy, podczas, gdy polacy zdobyty obóz rychło plondrować poczęli i im się też największa część łupów dostała.

Król polski wynurzył życzenie wkroczenia do miasta (str. 267). Całemu światu zaś wiadomo było, że cesarz tylko dla osoby Sobieskiego nie wziął udziału w chwale dnia poprzedniego (w bitwie); że zaś teraz naturalnie chciał pierwszy stanąć w swojej ocalonej stolicy i już w tym celu wybrał się w drogę, żądanie Sobieskiego musiało go tedy zadziwić. I w samej rzeczy, kiedy król przez furtę wycieczną koło Szkockiej bramy wstąpił do miasta, opuścili go obaj elektorowie i ks. Lotaryński, cesarscy jenerałowie zaś tylko ze wstrętem ruszyli za Sobieskim do miasta.

Był to fakt dziwny, że po spotkaniu się obu monarchów pod Szwechatem, król wrócił do obozu, nie sprezentowawszy wojsk polskich cesarzowi. Ale w dobroci swojej, cesarz strawił tę niegrzeczność króla polskiego i wizytował potem wojsko polskie, które mu hetman Jabłonowski sprezentował.

Uciecha, jaką ocalenie Wiednia wywołało w wdzięcznym Leopoldzie, nie pozwoliła powstać żadnej ansie do Sobieskiego, który już nieraz, a ostatnim razem przez swój uroczysty wjazd do Wiednia, obraził uczucia cesarza. Ale też i króla polskiego ogarnął od czasu tego spotkania niesmak, który się często odzywa w jego listach prywatnych.

Użalał się w nich na cesarza, na księcia Lotaryńskiego, że nie ma starania około polaków, na hr. Stahremberga, że nie wpuszczał żołnierzy polskich do Wiegnia; na nuncjusza, kard. Buonavisiego, że nie daje pieniędzy, asygnowanych przez papieża na utrzymanie wojsk polskich. Wynikłe następnie w dalszym przebiegu wojny trudności pochodziły przeważnie z tego mniemanego upośledzenia, którego król polski nie mógł zapomnieć.

Tak prawi austrjackie historyczne urzędowe dzieło wojskowe — a jednej przecie okoliczności pominąć nie mogło.

Oto w południe nastała przerwa w bitwie, i powszechnie z wytężeniem wyglądano nadejścia polaków. Każdy żołnierz patrzał w stronę, z której się mieli zjawić polacy. Nareszcie, kiedy ze zdobytego przez sasów wzgórza ujrzano powiewające w powietrzu proporcje lanc jazdy polskiej, rozległ się w szeregach wojowników chrześćjańskich powszechny okrzyk radości: i zaledwo z trudem zdołano powstrzymać pałających ogniem bojowych żołnierzy, którzy bez komendy i sygnału, chcieli na nowo począć bitwę.

Wtedy też, dopiero teraz przyznaje dzieło wspomniane, zarzucono myśl zaprzestania na ten dzień boju, i ks. Lotaryński po naradzie wojennej zawołał: „Marchons donc!"

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Grześ poszedł wykonać rozkaz, a ciocia żywo pobiegła do pokoju bratowej z nowiną o przybyciu gościa.

— Niechże bratowa go przyjmie serdecznie — mówiła, ubierając czemprędzej odświętną suknię — bo to młodzieniec nadzwyczaj dystyngowany, ma przed sobą świetną przyszłość, znajomości wśród najlepszego towarzystwa, powiadam ci ósmy cud świata... no i... —

— Bez wątpienia siostra chcesz go swatać Małgosi — przerwała z uśmiechem mrugając oczyma pani Wilska, rada ze swej domyślności. — Rzeczywiście ciekawa jestem ujrzeć ten „ósmy cud świata".

— Głowę dam w zakład, że ci się podobać musi. A co się tyczy tych swatów — to nie taję się, kiedy już otwarcie mówimy, że nazwałabym się szczęśliwą, gdybym ich skojarzyła, ale to u was wszystkich widzę nie tak, jak u ludzi... Zresztą o tem potem... A przyjdźże z Małgosią do salonu, — dodała już na wychodnem, spiesząc do przybyłego.

W salonie, a raczej skromnie wyglądającym pokoju bawialnym, siedział na krześle, rozglądając się badawczem okiem w koło pan Kazimierz Świderski, w którym czytelnik domyślił się już zapewne naszego znajomego pocztmistrzowicza, ongi Kazimierza Świdra, dziś zaś z szlachecka Świderskim się mieniącego.

Winniśmy wytłumaczyć się, jak przyszło do tej zmiany nazwiska. Takiego kawalera, pełnego wykwintnych aspiracyj towarzyskich i kierunków pańskich, jak dawny kolega Jędrusia — srodze bolało nazwisko rodowe, brzmiące tak okropnie gminnie i mimowoli przypominające pochodzenie od jakiegoś praszczura cieśli, lub kołodzieja.

W równym stopniu utyskiwała na to fatalne nazwisko mama, pani pocztmistrzowa, i w oczach jej było ono ciężkim grzechem, którego żadną miarą przebaczyć nie mogła potulnemu mężowi. Początkowo na wzmiankę uczynioną przez jakiegoś domorosłego jurystę, marzyła o udzieleniu kochanemu synalkowi swego rodzinnego nazwiska. Gdy się później jednak przekonała

ne wodza eines grossen Feldherrn) ks. Lotaryńskiego, tudzież w ręku nadzwyczaj tęgiego generała (eines überaus tüchtigen Heerführers) jak król Sobieski.

Poparte przez polsko-niemieckie posiłkowe wojska — dzieło wszechdziejowe armii cesarskiej udało się w sposób najświetniejszy.

W bitwie pod Wiedniem wojsko chrześcijańskie pod dowództwem rycerskiego i sprawnego w rzemiośle wojennem króla Sobieskiego, odniosło świetne zwycięstwo. Ale główne zadanie — otwarcie komunikacji z Wiedniem rozwiązał ks. Lotaryński i jego to ruch ku prawemu skrzydłu wojska tureckiego rozstrzygnął ciężkiej dotąd wynik.

Zwrot lewego skrzydła (chrześcjańskiego) na prawo, atak flankowy, nietylko zmusił prawe skrzydło turków do cofania się, ale zarazem też zmusił do odwrotu i lewe skrzydło turków, które dotąd uparcie stawiało opór polakom. Na lewem skrzydle swojem turcy dopiero wtedy podali tył, kiedy spostrzegli rozsypkę swego prawego skrzydła i nieustanne posuwanie się niemców ku ich lewemu skrzydłu.

Dzieje wojenne r. 1683 wskazują niezbicie, że jeśli nawałę Osmanów powstrzymano, należy to zawdzięczać przedewszystkiem wytrwałości cesarza, talentowi i energii ks. Lotaryńskiego i Stahrembergа (komendanta Wiednia), tudzież heroizmowi austrjackiego żołnierza i austrjackiego mieszczanina. Kiedy wojska posiłkowe nadciągnęły, już były zastępy Kara Mustafy na pół pokonane. Nadciągnięcie sprzymierzeńców i ich udział pomogły tylko do wyzyskania zwycięstwa taktycznego.

W tem wszechdziejowym dziele, w jednym z najznamienitszych zwrotów dziejowych, w jednem z największych zwycięstw cywilizacji, w ostatecznem zwycięstwie krzyża nad półksiężycem równa przypada zasługa Leopoldowi (cesarzowi), Sobieskiemu, Lotaryńczykowi i Stahrembergowi. A spełnili to wszyscy w wysokim poczuciu swego obowiązku.

Wieczorem po bitwie wydano rozkaz, że wojsko ma stać pod bronią i pod karą śmierci nie wolno wystepować z szeregów. Ale rozkazu tego (str. 260) usłuchali tylko niemcy, podczas, gdy polacy zdobyty obóz rychło plondrować poczeli i im się też największa część łupów dostała.

Król polski wymusił życzenie wkroczenia do miasta (str. 267). Całemu światu zaś wiadomo było, „że" cesarz tylko dla osoby Sobieskiego nie wziął udziału w chwale dnia poprzedniego (w bitwie); że zaś teraz natarcie chciał pierwszy stanąć w swojej ocalonej stolicy i już w tym celu wybrał się w drogę, żądanie Sobieskiego musiało go tedy zadziwić. I w samej rzeczy, kiedy król przez furtę wyciętą koło Szkockiej bramy wstąpił do miasta, opuścili go obaj elektorowie i ks. Lotaryński, cesarscy jenerałowie zaś tylko ze wstrętem ruszyli za Sobieskim do miasta.

Był to fakt dziwny, że po spotkaniu się obu monarchów pod Szwechatem, król wrócił do obozu, nie sprezentowawszy wojsk polskich cesarzowi. Ale w dobroci swojej, cesarz zniewił tę nieprzezorność króla polskiego i wizytował potem wojsko polskie, które mu hetman Jabłonowski sprezentował.

Ucieczka, jaką oczienie Wiednia wywołało w wielkodusznym Leopoldzie, nie pozwoliła powziąć żadnej urazy do Sobieskiego, który już nieraz, a ostatnim razem przez swój uroczysty wjazd do Wiednia, obraził uczucia cesarza. Ale też i króla polskiego ogarnął od czasu tego spotkania niesmak, który się często odzywa w jego listach prywatnych.

Użalał się w nich na cesarza, na księcia Lotaryńskiego, że nie ma starania około polaków, na hr. Stahremberga, że nie wpuszczał żołnierzy polskich do Wiednia; na nuncjusza, kard. Buonvisiego, że nie daje pieniędzy, asygnowanych przez papieża na utrzymanie wojsk polskich. Wynikłe następnie w dalszym przebiegu wojny trudności pochodziły przeważnie z tego mniemanego upośledzenia, którego król polski nie mógł zapomnieć.

Tak prawi austrjackie historyczne urzędowe dzieło wojskowe — a jednej przecie okoliczności pominąć nie mogło.

Oto w południe nastała przerwa w bitwie, i powszechnie z wytężeniem wyglądano nadejścia polaków. Każdy żołnierz patrzał w stronę, z której się mieli zjawić polacy. Nareszcie, kiedy ze zdobytego przez szwedów wzgórza ujrzano powiewające w powietrzu proporcje lanc jazdy polskiej, rozległ się w szeregach wojowników chrześcijańskich powszechny okrzyk radości; i zaledwie z trudem zdołano powstrzymać palących ogniem bojowych żołnierzy, którzy bez komendy i sygnału, chcieli na nowo począć bitwę.

Wtedy też, dopiero teraz przyznaje dzieło wspomniane, zarzucono myśl zaprzestania na ten dzień boju, i ks. Lotaryński po naradzie wojennej zawołał: „Marchons donc!"

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwayna.

(Ciąg dalszy).

Grześ poszedł wykonać rozkaz, a ciocia żywo pobiegła do pokoju bratowej z nowiną o przybyciu gościa.

— Niechże bratowa go przyjmie serdecznie — mówiła, ubierając czemprędzej odświętną suknię — bo to młodzieniec nadzwyczaj dystyngowany, ma przed sobą świetną przyszłość, znajomości wśród najlepszego towarzystwa, powiadam ci ósmy cud świata... no i... —

— Bez wątpienia siostra chcesz go swatać Małgosi — przerwała z uśmiechem mrugając oczyma pani Wilska, rada ze swej domyślności. — Rzeczywiście ciekawa jestem ujrzeć ten „ósmy cud świata".

— Głowę dam w zakład, że ci się podobać musi. A co się tyczy tych swatów — to nie taję się, kiedy już otwarcie mówimy, że uszczęśliwiłabym się szczęśliwa, gdybym ich skojarzyła, ale to u was wszystkich widzę nie tak, jak u ludzi... Zresztą o tem potem... A przyjdźże z Małgosią do salonu, — dodała już na wychodnem, spiesząc do przybyłego.

W salonie, a raczej skromnie wyglądającym pokoju bawialnym, siedział na krześle, rozglądając się badawczem okiem w koło pan Kazimierz Świderski, w którym czytelnik domyślił się już zapewne naszego znajomego poczmistrzowicza, ongi Kazimierza Świdra, dziś zaś z szlachecka Świderskim się mieniącego.

Winniśmy wytłumaczyć się, jak przyszło do tej zmiany nazwiska. Takiego kawalera, pełnego wykwintnych aspiracyj towarzyskich i kierunków pańskich, jak dawny kolega Jędrusia — srodze bolało nazwisko rodowe, brzmiące tak okropnie gminnie i mimowoli przypominające pochodzenie od jakiegoś praszczura cieśli, lub kołodzieja.

W równym stopniu uczuwała on to fatalne nazwisko mama, pani poczmistrzowa, i w oczach jej było ono ciężkim grzechem, którego żadną miarą przebaczyć nie mogła potulnemu mężowi. Początkowo na wzmiankę uczynioną przez jakiegoś domorosłego jurystę, marzyła o udzieleniu kochanemu synalkowi swego rodzinnego nazwiska. Gdy się później jednak przekonała

że to wobec obowiązujących ustaw jest rzeczą do przeprowadzenia zbyt trudną, a łatwiej już uzyskać przeróbkę nazwiska dodaniem końcówki „ski" — dołożyła wszelkich starań i zabiegów u dotyczącej władzy, aby uzyskać odnośne przyzwolenie.

W ten sposób pan Kazimierz ze Świdra stał się Śwideskim i gdy przypadkiem wyczytał w herbarzu, że na Litwie istnieje rodzina ruskich kniaziów Świderskich, bez wahania kazał sobie na biletach wizytowych wytłoczyć herb owych kniaziów z imponującą mitrą książęcą. Genialnym tym pomysłem mama tak się ucieszyła, że w nagrodę kupiła mu złoty sygnet i na nim wyryć kazała ten sam herb z cyframi.

Na usprawiedliwienie przed dotychczasowemi znajomymi, ułożono następującą bajeczkę z tłem nawet historycznem. Oto pradziad Kazia — kniaź Hrehory Świderski — pan licznych włości na głębokiej Litwie sąsiad i przyjaciel od serca — a pono nawet krewny bliski Radziwiłłów — który miał znakomity udział w konfederacji barskiej — przy jakiemś spotkaniu z moskiewskim generałem, faworytem carowej Katarzyny (nazwiska jego już nie pamiętano — ale zapisane ono w papierach familji) poprzeczał się z nim, i następnie w pojedynku go ubił jak wróbla. Gdy później wojska rosyjskie zajęły Litwę — skonfiskowano pradziadowi dobra — on sam zaś ledwie uciekł z życiem za granicę, gdzie dla skuteczniejszego ukrycia się przed ścigającą go wszędzie zemstą rozgniewanej carowej — przybrał plebejuszowskie nazwisko Świdra. Póżniej przybył do Galicji i tu osiadł z rodziną — z tych samych względów nie powracając do rodowego nazwiska i tytułu.

Byli łatwowierni, którzy temu wszystkiemu uwierzyli, byli jednak i tacy, którzy w duchu i poza oczy nie szczędzili słów powątpiewania o prawdziwości tej genezis, i drwili niemiłosiernie z bezczelnego podszywania się „ordynarnych Świdrów" pod cudzy herb i nazwisko.

— A kochanego pana witam — wołała ciocia ode drzwi już, wyciągając obie ręce ku gościowi,

Do stóp ścielę się pani dobrodziejce, — brzmiała odpowiedź przybyłego, który porwawszy się z kozetki, przypadł do cioci i z nabożeństwem ucałował podaną jej rękę. Jakże doprawdy ślicznie dobrodziejka wygląda we Lwowie — widocznie stolica lepiej służy od prowincji.

— W samej rzeczy czuję się tu zdrowszą i weselszą niżeli u siebie w domu. Ale bo też dość patrzeć z bliska na moją drogą Małgosię, ażeby nabrać ochoty do życia i czuć się zadowoloną zupełnie. Anioł nie dziewczę.

— Czy w domu panna Małgorzata? — tak radbym z całej duszy poznać ukochaną kuzynkę pani dobrodziejki.

Wierzymy. Słyszał o znacznym majątku Wilskich, spadku po stryju — wiedział z ust samej cioci, że nadto Małgosia odziedziczy po niej kapitalik przyzwoity, więc nie bez racji usiłował pozyskać sobie względy cioci, co mu się w samej rzeczy powiodło.

— W domu, w tej chwili jednak zajęta jeszcze jakąś robótką wraz z dawną swą nauczycielką. Lecz prawdopodobnie niebawem przyjdzie tu do nas z matką. Dawno przyjechałeś pan do Lwowa?

— Przed kilku dniami i ledwie się trochę rozglądnąłem w stolicy; i wywiedziawszy się o mieszkaniu państwa, pospieszyłem tu zaraz, złożyć moje uszanowanie pani dobrodziejce — dodał z powagą i namaszczeniem. Wiedział bowiem o tem, że niczem łatwiej jak pochlebstwami, zdobywało się względy starej panny cioci. W swej naiwności bezgranicznej była ona w stanie pochłonąć konwencjonalnych komplimentów, kadzideł i pochlebstw, nawet najniezręczniejszych, mnóstwo niesłychane.

— Dobrze pan zrobiłeś, i nie pożałujesz tego, mam nadzieję... — dodała z tajemniczą miną a przyjaznym uśmiechem. W jakiż sposób dowiedziałeś się pan, gdzie mieszkamy?

— Przypadkiem spotkałem na ulicy dawnego mego kolegę ze szkół, Jędrzeja Kobylskiego, który w domu państwa Wilskich jest guwernerem.

— A Jędrusia, więc to pański kolega? Bardzo porządny chłopak i w wielkich łaskach u mego brata.

— Tak... rzeczywiście... nie poznaję go prawie, jak się odmienił ostatniemi czasy na awantaż... Dawniej bowiem — wyznam otwarcie — był lekkoduchem, wisusem niepospolitym... i powiem nawet pani dobrodziejce, z tego powodu długie lata między nami stosunek koleżeński był nader chłodny... O! bo mama moja dbając o mnie ogromnie, zabraniała mi surowo obcowania z kolegami takimi, którzy pod każdym względem nie dawali rękojmi statku i przyzwoitości...

— Więc ten tak poważny dziś i pracowity Kobylski był dawniej łobuzem? pytała ciocia z niekłamanem zdziwieniem.

— Skończonym, powiadam pani dobrodziejce.. Przytem miewał fatalne skłonności przeróżne, które ostatecznie można było złożyć chyba na karb nieszczęśliwych jego stosunków rodzinnych...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika naukowa.

(Analiza nerwowa przez prof. dra. Gustawa Jägera podał Dr. K. H.

O tej oryginalnej pracy, zagraniczne czasopisma naukowe a nawet i polityczne, podały już wyczerpujące sprawozdania i dla tego uważałem za stosowne obznajmić i naszą publiczność z tą ciekawą pracą, lubo nie zupełnie wierzę w ścisłość doświadczeń prof. Jägera, po części znanego już naszej publiczności z pracy o odkryciu duszy (die Entdeckung der Seele), która w swoim czasie narobiła dużo hałasu.

Przedewszystkiem muszę opisać przyrząd, którym się Jäger posługiwał przy swoich badaniach. Jest nim znany *chronoskop Hippa*, zbudowany w celu mierzenia małych odstępów czasu, lub bardzo wielkich prędkości. Przyrząd ten znalazł następnie zastosowanie i w fizyologii do mierzenia prędkości, z jaką podrażnienie nerwowe się rozchodzi. Pierwsze praktyczne zastosowanie w tym kierunku znalazł chronoskop dla wyznaczenia tak nazwanego, *równania osobistego* u astronomów, i co Jäger nazywa *czasem nerwowym.* Chronoskop jest przyrządem zegarowym, składającym się z dwóch cyferblatów nad sobą pionowo ustawionych, z których każdy podzielony jest na 100 równych części. Skazówka, którą jest opatrzony górny cyferblat, wykonywa pięć obrotów na sekunkę, tak, że na nim można odczytywać $^1/_{500}$ sekundę (1 podziałka). Skazówka dolnego cyferblatu opisuje pięć podziałek na sekundę, tak, że każda podziałka zostaje opisaną w ciągu $^1/_5$ sekundy.

Osobliwośc chronoskopu polega na tem, że oddzielna maszynerja porusza skazówki i oddzielna — sam zegar i obie mogą być dowolnie połączone lub rozłączone. Gdy są rozłączone zegar porusza się bez skazówek, gdy zaś zostaną połączone, wtedy skazówki natychmiast zaczynają się poruszać. Połączenie i rozłączenie przyrządu zegarowego ze skazówkami, dokonywa się za pomocą

że to wobec obowiązujących ustaw jest rzeczą do przeprowadzenia zbyt trudną, a łatwiej już uzyskać przeróbkę nazwiska dodaniem końcówki „ski" — dołożyła wszelkich starań i zabiegów u dotyczącej władzy, aby uzyskać odnośne przyzwolenie.

W ten sposób pan Kazimierz ze Świdra stał się Śwideskim i gdy przypadkiem wyczytał w herbarzu, że na Litwie istnieje rodzina ruskich kniaziów Świderskich, bez wahania kazał sobie na biletach wizytowych wytłoczyć herb owych kniaziów z imponującą mitrą książęcą. Genialnym tym pomysłem mama tak się zachwyciła, że w nagrodę kupiła mu złoty sygnet i na nim wyryć kazała ten sam herb z cyframi.

Na usprawiedliwienie przed dotychczasowemi znajomymi, ułożono następującą bajeczkę z tłem nawet historycznem. Otóż pradziad Kazia — kniaź Hrehory Świderski — pan licznych włości na głębokiej Litwie — sąsiad i przyjaciel od serca — a ponoć nawet krewny bliski Radziwiłłów — który miał znakomity udział w konfederacji barskiej — przy jakiemś spotkaniu z moskiewskim generałem, faworytem carowej Katarzyny (nazwiska jego już nie pamiętano — ale zapisane ono w papierach familji) poprzeczał się z nim, i następnie w pojedynku go ubił jak wróbla. Gdy później wojska rosyjskie zajęły Litwę — skonfiskowano pradziadowi dobra — on sam zaś ledwie uciekł z życiem za granicę, gdzie dla skuteczniejszego ukrycia się przed ścigającą go wszędzie zemstą rozgniewanej carowej — przybrał plebejuszowskie nazwisko Świdra. Później przybył do Galicji i tu osiadł z rodziną — z tych samych względów nie powracając do rodowego nazwiska i tytułu.

Byli łatwowierni, którzy temu wszystkiemu uwierzyli, byli jednak i tacy, którzy w duchu i poza oczy nie szczędzili słów powątpiewania o prawdziwości tej genezie, i drwili niemiłosiernie z bezczelnego podszywania się „ordynarnych Świdrów" pod cudzy herb i nazwisko.

— A kochanego pana witam — wołała ciocia ode drzwi już, wyciągając obie ręce ku gościowi.

Do stóp ścielę się pani dobrodziejce, — brzmiała odpowiedź przybyłego, który porwawszy się z krzesła, przypadł do cioci i z nabożeństwem ucałował podaną jej rękę. Jakże dopraszam, ślicznie dobrodziejka wygląda we Lwowie — widocznie stolica lepiej służy od prowincji.

— W samej rzeczy czuję się tu zdrowszą i weselszy myśli w siebie w dom „. Ale bo też dość patrzeć z bliska na moją drogą Małgosię, ażeby nabrać ochoty do życia i czuć się zadowoloną zupełnie. Anioł nie dziewczę.

— Czy w domu panna Małgorzata? — tak radbym z całej duszy powitać ukochaną kuzynkę pani dobrodziejki.

Wierzymy. Słyszał o znacznym majątku Wilskich, spadku po stryju — wiedział z ust samej cioci, że nadto Małgosia odziedziczy po niej kapitalik przyzwoity, więc nie bez racji usiłował pozyskać sobie względy cioci, co mu się w samej rzeczy powiodło.

— W domu, w tej chwili jednak zajęta jeszcze jakąś robótką wraz z dawną swą nauczycielką. Lecz prawdopodobnie niebawem przyjdzie to do nas z matką. Dawno przyjechałeś pan do Lwowa?

— Przed kilku dniami i ledwie się trochę rozglądnąłem w stolicy; i wywiedziawszy się o mieszkaniu państwa, pospieszyłem tu zaraz, złożyć moje uszanowanie pani dobrodziejce — dodał z powagą i namaszczeniem. Wiedział bowiem o tem, że niczem łatwiej jak pochlebstwami, zdobywało się względy starej panny cioci. W swej naiwności bezgranicznej była ona w stanie pochłonąć konwencjonalnych komplimentów, kadzideł i pochlebstw, nawet najniezręczniejszych, mnóstwo niezliczone.

— Dobrze pan zrobiłeś, i nie pożałujesz tego, mam nadzieję... — dodała z tajemniczą miną a przyjaznym uśmiechem. W jakiż sposób dowiedziałeś się pan, gdzie mieszkamy?

— Przypadkiem spotkałem na ulicy dawnego mego kolegę ze szkół, Jędrzeja Kobylskiego, który w domu państwa Wilskich jest guwernerem.

— A Jędruś, więc to pański kolega? Bardzo porządny chłopak i w wielkich łaskach u mego brata.

— Tak... rzeczywiście... nie poznałę go prawie, jak się odmienił ostatniemi czasy na awantaż... Dawniej bowiem — wyznam otwarcie — był lekkoduchem, wisusem niepospolitym... i powiem nawet pani dobrodziejce, z tego powodu długie lata między nami stosunek koleżeński był nader chłodny... O! bo mama moja drżąc o mnie ogromnie, zabraniała mi surowo obcowania z kolegami takimi, którzy pod każdym względem nie dawali rękojmi statku i przyzwoitości...

— Więc ten tak poważny dziś i pracowity Kobylski był dawniej łobuzem? pytała ciocia z niekłamanem zdziwieniem.

— Skończonym, powiadam pani dobrodziejce. Przytem miewał fatalne skłonności przeróżne, które ostatecznie można było złożyć chyba na karb nieszczęśliwych jego stosunków rodzinnych...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika naukowa.

(Analiza nerwowa przez prof. dra. Gustawa Jägera podał Dr. K. H.

O tej oryginalnej pracy, zagraniczne czasopisma naukowe a nawet i polityczne, podały już wyczerpujące sprawozdania i dla tego uważałem za stosowne obznajomić i naszą publiczność z tą ciekawą pracą, lubo nie zupełnie wierzę w ścisłość doświadczeń prof. Jägera, po części znanego już naszej publiczności z pracy o odkryciu duszy (die Entdeckung der Seele), która w swoim czasie narobiła dużo hałasu.

Przedewszystkiem muszę opisać przyrząd, którym się Jäger posługiwał przy swoich badaniach. Jest nim znany chronoskop Hippa, zbudowany w celu mierzenia małych odstępów czasu, lub bardzo wielkich prędkości. Przyrząd ten znalazł następnie zastosowanie i w fizyologii do mierzenia prędkości, z jaką podrażnienie nerwowe się rozchodzi. Pierwsze praktyczne zastosowanie w tym kierunku znalazł chronoskop dla wyznaczenia tak nazwanego równania osobistego u astronomów, i co Jäger nazywa czasem nerwowym. Chronoskop jest przyrządem zegarowym, składającym się z dwóch cyferblatów nad sobą pionowo ustawionych, z których każdy podzielony jest na 100 równych części. Skazówka, którą jest opatrzony górny cyferblat, wykonywa pięć obrotów na sekundę, tak, że na nim można odczytywać $^1/_{500}$ sekundy (1 podziałka). Skazówka dolnego cyferblatu opisuje pięć podziałek na sekundę, tak, że każda podziałka zostaje opisaną w ciągu $^1/_5$ sekundy.

Osobliwość chronoskopu polega na tem, że oddzielne maszynerje poruszą skazówki i oddzielna — sam zegar i obie mogą być dowolnie połączone lub rozłączone. Gdy są rozłączone zegar porusza się bez skazówek, gdy zaś zostaną połączone, wtedy skazówki natychmiast zaczynają się poruszać. Połączenie i rozłączenie przyrządu zegarowego ze skazówkami, dokonywa się za pomocą

strumienia elektrycznego. Zamykanie i odmykanie strumienia, uskutecznia się za pomocą zwyczajnego klucza telegraficznego. Czułość chronoskopu jest tak wielka, że za jego pomocą można wyznaczyć czas, w którym kula karabinowa przebiega jedną stopę W tym celu wzdłuż trajektorji kuli umieszczają się dwa druty, odległe od siebie na stopę, tak, że naprzód zostaje przestrzelony pierwszy drut, następnie drugi. Gdy kula rozcina pierwszy drut, wtedy strumień elektryczny łączy przyrząd zegarowy z przyrządem skazówkowym, gdy zaś kula przecina drugi drut, wtedy połączenie to zostaje przerwanem i wskazówka się zatrzymuje. Tym sposobem możemy wyznaczyć czas użyty przez kulę dla przebieżenia stopy.

Opisawszy chronoskop przystępujemy do samego przedmiotu.

Analiza nerwowa Jägera polega na wyznaczeniu pewnego czasu, nazwanego *czasem nerwowym*. Gdy kto obserwuje moment ukazania się jakiegoś sygnału i moment ten powinien miarkować jakimś szczególnym znakiem, np. ruchem palca, to pomiędzy chwilą ukazania się sygnału i momentem ruchu palca, zawsze upływa pewien przeciąg czasu, potrzebny na to, by wrażenie otrzymane w oku, przeszło przez nerw wzrokowy do mózgu, a ztąd przez nerwy ruchowe do mięśni palca. Ten czas właśnie Jäger nazywa *czasem nerwowym*, a astronomowie *równaniem osobistem*. Dla mierzenia tego czasu za pomocą chronoskopu, obserwator staje przed przyrządem, z natężoną uwagą patrzy na położenie skazówki i powolnym ruchem ręki zamyka strumień elektryczny, przez co natychmiast rozpoczyna się ruch skazówki. Jak tylko obserwator spostrzegł ten ruch, natychmiast przerywa strumień elektryczny i znowu odczytuje położenie skazówki. Różnica położeń strzałki, w chwili gdy obserwator spostrzegł jej ruch, i w chwili gdy przerwał strumień, da nam czas nerwowy wyrażony w ułamku sekundy.

Otóż Jäger z tysiąca doświadczeń wyprowadził następujące wnioski.

„Przy jednakowem natężeniu sygnałów, czas nerwowy zależy: 1) od stanu przewodnictwa naszego przyrządu nerwowego i mięśniowego; 2) od naszej woli, albo raczej od stopnia natężenia naszej uwagi i woli, a mianowicie jeżeli wola nasza jest bardzo energiczna i silna, wtedy przy tym samym stopniu przewodnictwa nerwowego i mięśniowego, czas nerwowy jest krótszy, aniżeli przy słabszej woli i energji.

Tak samo ma się rzecz odnośnie do stopnia uwagi z jaką obserwujemy sygnał. W analizie nerwowej jest rzeczą niezmiernie ważną utrzymywać ten drugi wpływ na jednakowej wysokości, to jest wykonywać wszystkie działania z jednakową uwagą i jednakową energią woli. Do tego potrzebną jest wprawa, o której musimy nieco obszerniej pomówić. Jakeśmy ważej powiedzieli, pod wpływem woli wykonywamy dwa ruchy, najprzód podnosimy palec dla wprawienia w ruch skazówkę, następnie go opuszczamy dla wstrzymania tego ruchu. Dopóki nie mamy dostatecznej wprawy potrzebne są do tego dwa impulsy woli, jeden dla podniesienia palca, drugi dla opuszczenia go, a pomiędzy niemi upływa pewien przeciąg czasu, którego trwanie zależy od stanu organu woli, od duszy. Lecz przez wprawę stan ten ulega zmianie na zasadzie tak nazwanego prawa *współuszykowania* (kordynacji), doskonale znanego wszystkim fizyologom.

Prawo to polega na tem, że jeżeli dwa dowolne ruchy (zamykanie i odmykanie strumienia elektrycznego np.), wykonywamy często jeden po drugiem, to dla nas wystarcza jeden impuls woli. Z początku oba te ruchy są zupełnie dowolne, lecz po pewnej wprawie drugi ruch pod wpływem *jednego* impulsu woli, nietylno *dowolnie* wykonywamy pierwszy ruch, lecz jeszcze *mimowolnie* wykonywamy drugi. Gdy eksperymentator doszedł do tej wprawy, wtedy czas nerwowy jego, to jest czas, jaki upływa pomiędzy zamykaniem a odmykaniem strumienia elektrycznego, prawie zupełnie *nie zależy od woli, a jedynie od stopnia przewodnictwa przyrządu nerwowego i mięśniowego.*

Ponieważ zadaniem analizy nerwowej jest zbadanie tego stopnia przewodnictwa, albo raczej wpływów, od których zależy, więc wprawa jest rzeczą niezmiernie ważną; wprawy tej każdy nabyć może w ciągu dni kilku.

Dotychczas zwracano zwykle uwagę tylko na przeciętną wielkość „czasu nerwowego", lecz Jäger zauważył, że czas ten podlega ciekawym wahaniom, szybko po sobie następującym. Jeżeli wykonywać będziemy znaczną liczbę obserwacyj czasu nerwowego za pomocą chronoskopu, np. sto, w odstępach czasu od dziesięciu do dwudziestu sekund, to otrzymamy rząd cyfr znacznie pomiędzy sobą się różniących i zmiany tych cyfr są bardzo charakterystyczne. Zmiany te można przedstawić graficznie za pomocy linij krzywych, sposobem powszechnie znanym. Na rysunkach wykonanych przez Jägera i jego uczniów $^1/_4$ milimetra przedstawia tysiączną część sekundy. Krzywą, przedstawiającą wypadki wszystkich pojedynczych obserwacyj, Jäger nazywa krzywą *szczegółową* (Detailcurve), lecz oprócz niej kreśli on jeszcze drugą krzywą przedstawiającą cyfry, które otrzymujemy, biorąc średnią z 10 kolejnych obserwacyj pojedynczych. Przeciętną z dziesięciu obserwacyj Jäger nazywa *dekadą*. Krzywa przeciętnej dekadycznej tem się różni od szczegółowej, że w niej pojedyncze wypadki nie odznaczają się punktem, lecz kreską poziomą, której długość jest proporcjonalna do wielkości cyfry. Zarówno krzywe szczegółowe, jakoteż przeciętne, Jäger nazywa *krzywemi analizy nerwowej*, a to dla dwóch przyczyn;

1) Dają one jasny obraz chwilowego stanu naszego układu nerwowego, a raczej jego zdolności przewodnictwa dla otrzymanych wrażeń i zmian zachodzących w tem przewodnictwie, zmian, na które dotychczas nie zwrócono uwagi. Analiza zatem nerwowa oznacza w liczbach stan naszego przyrządu nerwowego.

2) Przekonałem się, powiada Jäger, i to stanowi najważniejszą część mojego odkrycia, że za pomocą takiego oznaczenia stanu naszego układu nerwowego, możemy: a) zbadać, które wpływy zewnętrzne i wewnętrzne oddziaływają zmieniająco na stan naszego układu nerwowego; b) z chwilowego stanu układu nerwowego *możemy odwrotnie* wyprowadzić pewne wnioski o naturze wpływu, któremu układ nerwowy uległ w chwili doświadczeń. Tym więc sposobem możemy użyć układu nerwowego do wyznaczenia wpływów zewnętrznych, nań działających.

Z doświadczeń Jägera i jego uczniów wynika, że kształt krzywych analizy nerwowej, które Jäger nazywa jeszcze „psychogramami" (*endo* i *exo*) zmienia się pod wpływem wszystkiego co z zewnątrz dostaje się do organizmu, jako też i pod wpływem wewnętrznych afektów jak np. zadowolenia, gniewu, bojaźni, głodu, pragnienia, znużenia, febry i t. d. Oprócz tego każdemu oddzielnemu wpływowi lub też afektowi, odpowiadają pewne charakterystyczne krzywe (musimy tu nadmienić, że krzywe odpowiadające wpływom zewnętrznym Jäger nazywa *exopsychogramami*), tak że mogą być krzywe radości, zadowolenia bojaźni, głodu, pragnienia i t. d. Za pomocą tych krzywych możemy na papierze badać stan duszy.

Oprócz tego Jäger przekonał się, że jeśli dwie różne osoby zostają pod wpływem tego samego zapachu, lub jeśli one przyjęty ten sam pokarm, to psychogramy, przez nie

wykonane, w ogólności nie są identyczne, mogą one bowiem być albo podobne do siebie, albo zupełnie odmienne. Po spożyciu pewnego pokarmu przez dwie różne osoby, krzywe wypadną identycznie, gdy ten pokarm obydwu eksperymentatorom jednakowo smakuje, gdy zaś jednemu pokarm smakuje, drugiemu nie, wtedy psychogramy wypadną zupełnie odmienne.

Co się zaś tyczy jednej i tej samej osoby, to ona pod wpływem jednego i tego samego zapachu, wtedy tylko otrzymuje tę samą krzywą, jeżeli przed wprowadzeniem do organizmu zapachu lub pokarmu, stan jej narządu nerwowego był ten sam w obu razach. Ta ostatnia okoliczność jest niezmiernie ważną, gdyż chcąc otrzymać wypadki mogące być ze sobą porównywane, musimy robić doświadczenia w warunkach zupełnie identycznych, a zatem należy przyjmować te same pokarmy w tej samej porze dnia, należy wykonywać oznaczenia czasu nerwowego w pokojach jednakowo umeblowanych, przy jednakowym stanie czystości powietrza i jednakowym ubiorze eksperymentatora, a przedewszystkiem należy zwracać baczną uwagę na stan zdrowia i ducha. Kilka wyznaczeń chronoskopowych czasu nerwowego wystarczają biegłemu eksperymentatorowi dla przekonania się, czy on znajduje się w tem samem *nerwoanalitycznem usposobieniu* (Nevralanalytische Disposition) co i w doświadczeniach poprzednich. Według Jägera, organizm przedstawia nadzwyczajną czułość pod tym względem, gdyż mała kropelka spirytusu, puszczona na stół lakierowany wystarcza, by zapach lakieru rozchodzący się w pokoju zmienił psychogramy, a tem samem i cały bieg doświadczeń. (C. d. n.)

RYBACY

Nowelka

przez

Guy de Maupassant.

Paryż był oblężony i zgłodniały. Wróble na dachach poznikały i kanały podziemne zostały opustoszone.

Żywiono się byle czem.

Pan Morissot, dawniej zegarmistrz, obecnie obrońca ojczyzny, przechadzał się po bulwarach z rękoma w kieszeniach munduru narodowego; śliczny wiosenny dzień jaśniał wesoło, jednak pan Morissot był smutnym, gdyż miał pusty żołądek; nagle twarz jego się rozjaśniła, spotkał pana Sauvage dobrego przyjaciela, z którym się był poznał nad wodą łowiąc ryby.

Przed wojną co niedziela o świcie pan Morissot z bambusową laską w ręku i blaszanem pudełkiem na plecach wsiadał na pociąg w Argenteuil, wysiadał w Colombes, a ztamtąd piechotą dochodził do wysepki Marzante, tu się zatrzymywał, zarzucał wędkę i nieruszał się z miejsca do wieczora.

Co niedziela spotykał w tem miejscu pana Sauvage, właściciela małego sklepu przy ulicy Notre-Dame de Lorette; był to sobie człowieczek mały, krępy, wesoły, wiecznie uśmiechnięty a zagorzały rybołowca. Siedzieli często całe pół dnia przy sobie z nogami zwieszonemi, nieruchomi, z oczami wlepionemi w wędkę; zaprzyjaźnili się z sobą.

Czasem rozmawiali trochę, częściej jednak nic nie mówili, ale rozumieli się wyśmienicie, mając te same usposobienia i gusta.

Zwykle na wiosnę około 10 z rana, gdy słońce płynąc z jasnych wód brzegiem, zaczynało im w plecy przypiekać, oznajmując cieplejszej pory przybycie, Morissot odezwał się do sąsiada: — A co, czy to nie rozkosz prawdziwa, hę! Sauvage odpowiadał tym samym tonen: Nie znam nic lepszego na świecie.

I to im wystarczało, rozumieli się przewybornie.

W jesieni zaś, gdy pod wieczór purpurowe chmury jasno zabarwiały wodę, zachodzące słońce ich samych ognistem otaczało światłem, a drzewa dreszczem chłodnym zdały się poruszać, pan Sauvage spoglądał z uśmiechem na pana Morissot i mówił:

— Co za przepyszny obraz! — Morissot nie spuszczając oka z wędki dodawał.— Mogą się i bulwary schować, hę!!

Spotkawszy się teraz w tak odmiennych okolicznościach, ścisnęli się za ręce wzruszeni. Pan Sauvage westchnął i rzekł!

— A to dopiero nieszczęśliwe wypadki.

Morissot westchnął głębiej jeszcze.

— A co za pogoda!

— Dziś właśnie taki dzień mamy przepyszny.

Niebo było rzeczywiście świetlne lazurowe.

Szli w milczeniu smutni, obok siebie. Morissot znów zaczął:

— A nasze wędki, kiedyż się do nich wrócimy, hę!

Pan Sauvage westchnął.

— Miłe wspomnienie.

Weszli do maleńkiej kawiarni na kieliszek piołunówki, potem znów rozpoczęli spacer po bulwarach. Morissot zatrzymał się nagle:

— Gdyby tak drugi kieliszek, hę!

Pan Sauvage zgodził się i na drugi i weszli do winiarni.

Trochę im w głowach szumiało gdy wychodzili, jak to zwykle bywa, gdy na głodny żołądek alkohol działać zacznie. Na dworze było ciepło przyjemne.

Lekki wietrzyk muskał ich po twarzy.

Pan Sauvage bardziej jeszcze tem ciepłem upojony, spytał naraz:

— A gdybyśmy tak poszli?

— Dokąd?

— Na ryby.

— Ależ dokąd?

— No do naszej wysepki. Nasze forpoczty są w Colombes. Znam pułkownika Dumoulin, puszczą nas niezawodnie.

Morissot aż zadrżał cały z radości.

— I owszem, ja idę.

I poszli po wędki.

W godzinę potem kroczyli obok siebie gościńcem, do willi pułkownika. Ten się tylko uśmiechnął z ich pomysłu i dał im kartę wolnego przejścia.

Poszli więc, przebyli forpoczty, wioskę Colombes opustoszałą, i znaleźli się wśród maleńkich winnic spuszczających się do brzegu Sekwany.

Była godzina jedynasta.

Naprzeciwko nich leżała Argenteuil, cicha jak grobowiec; pagórki Orgemont i Sannois panowały nad krajobrazem. Cała płaszczyzna wstronę Nanterre pusta i martwa gdzie okiem sięgnąć.

Pan Sauvage wskazał palcem pagórki i wyrzekł:

— Prusacy są tam.

Mrowie przeszło ich obu.

Prusacy! Nie widzieli ich wprawdzie nigdy, ale ich czuli od kilku miesięcy na około i w samym Paryżu; rujnowali oni kraj, łupili, zabijali, głodzili, a to wszystko niewidzialną i wszech mocną dłonią. Do nienawiści jaką pałali do Prusaków, dołączyło się teraz uczucie jakiejś trwogi przesądnej dla tych nieznanych okrutnych zwycięzców.

Morissot szepnął:

— Gdybyśmy ich tak jednak spotkali hę!

A pan Sauvage na to zwykłym sobie drwinkowatym tonem.